

Zbigniew Górniak

# SIOSTRA i bYK



w  
ab  
y d. awnic  
two



## Zbigniew Górniak

(ur. 1961) – dziennikarz, reportażysta, felietonista, autor wywiadów telewizyjnych, scenarzysta programów publicystycznych (m.in. *Połączy dla TVP 1*). Był redaktorem naczelnym wrocławskiego „Echa Miasta”. Zadebiutował w 2006 roku powieścią *Pulpa fikcyjna. Albo dwa wesela i pogrzeb kapitana Żbika*. Książka zebrała przychylnie recenzje. *Siostra i byk* to jego druga powieść.

**SIOSTRA**  
**i bYK**



Zbigniew Górniak

**SIOSTRA**  
**i bYK**



Wydawnictwo  
**ab**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

## 1

Oddech Izabeli Bocheńskiej był tak głośny i zachłanny, jakby pragnęła wciągnąć nosem całą tę rozkosz, w której się pławiła. Spoczywała na leżance zaprojektowanej przez samego Apolloniusa, a od prawdziwej skóry w kolorze beżu oddzielało ją prześcieradło pachnące lawendą. Jej plecy lśniły olejkami z mutengi, niezwykle rzadkiej byliny występującej wyłącznie na Tasmanii. Pierwsze tłoczenie, sto euro za dwustumililitrowy flakonik.

Wzdłuż kręgosłupa Izy tańczyły palce masażystki, jak dziesięciu chippendalesów z zespołu Nadwiślańskie Cyngle, którym swego czasu w klubie „Kosmos” wkładała za majtki banknoty o nominale nie mniejszym niż dwadzieścia złotych. Nazwanie masażystki mistrzynią to językowy banał, ale kto w takim błogostanie zawracałby sobie głowę szukaniem bardziej wyrafinowanych słów?

– I jak się bawiłaś? – padło pytanie z leżanki Moniki Oliwnik. Dziennikarka przybyła do ośrodka na cały długi weekend, żeby – jak głośno i wielokrotnie podkreślała – „odkazić się po kampanii wyborczej”.

– Byle jak – odparła od niechcienia Izabela. – Sama wiesz, jak to jest, kiedy bankiet zdominują mały z show-biznesu. Te ich ortopedyczne buciki, te ufarbowane włosy, te dresiki z kapturkami. I każdy ma ciemne okulary nad czołem. No i jakiś interes do obgadania... Nuda... Banał... Sztampa... – Dłoń Izabeli powędrowała do stolika na hebanowej nodze i wyluskała z papierosnicy cienkiego davidoffa. Coś nad jej głową kliknęło przyjaźnie i przy końcówce papierosa pojawił się żar zapalniczki. Farma była prywatna i właścicielowi ani się śniło ulegać antynikotynowym obsesjom państwa.

– Mają do ciebie interes, bo jesteś kimś. Szefowa Banku Inicjatyw Brukselskich. To brzmi jak Łatwa Forsa do Wyjścia... – Monika wyduła wargi. Jej włosy skrywał turban z białego ręcznika, a na twarzy miała maskę z wiórków kokosowych. Głowa gwiazdy TVN była teraz jak gigantyczna kulka raffaello i każdy brukowiec zapłaciłby za takie zdjęcie fortunę.

– Taaa... – potwierdziła Izabela leniwie. Przypomniał jej się podpity poeta z Krakowa, który próbował uwodzić ją obietnicą, że kolejny tomik zadedykuje właśnie jej, pod warunkiem że Bank Inicjatyw Brukselskich wyłoży na jego poezję pieniądze. O artyście powiadano, że jest oniryczny, ale Iza wstydziła się spytać Monikę, co znaczy to słowo. – Taaa... Gdzie pełne sieci, tam kłusownicy – podparła się swym ulubionym powiedzon-

kiem, zasłyszonym na spotkaniu z profesorem Francisem Finkym z Uniwersytetu w Ohio; tysiąc pięćset dolarów za trzy kwadranse wykładu w hotelu Sobieski, z czego przynajmniej dziesięć minut zmarnowanych na dostrajanie mikrofonu.

– To sobie teraz wyobraź, co ja przeżywam, kiedy gdzieś się pokazuję. – Monika umoczyła koniuszek języka w kryształowym naparstku wypełnionym Crème de Cassis de Dijon. – Im większy burak, tym bardziej chce mi się wepchać do programu.

– Taaa... Gdzie pełne sieci, tam kłusownicy – powtórzyła leniwie Iza, zapatrzona w panoramiczne weneckie lustro, za którym pysznił się zimowy ogród pełen skał i paproci oraz basen wypełniony gorącą wodą i bogaczkami pluskającymi się jak foki. Chippendalesi na jej plecach wypróbowywali właśnie nowy krok.

Wniesiono tace z sushi i ustawiono u wezglowi leżanek. Izabela poszukała wzrokiem zawiniątka z rybą maślaną, a potem, dla zaostrenia apetytu, nałała sobie do czarki sake.

– No to za tę naszą niedolę, Monia – wzniosła toast, lecz ręka zawisła w połowie drogi do ust, bo ktoś nad jej głową rozdarł się nieludzko...

– I-zau-ra!!!... Izauuuuurrrraaaaa!... Izaura, do kurwy nędzy!... Gdzie jest adrenalina?!... Zastryk trzeba zrobić!... Izaura, kurwa mać, Lewicki ma atak!... I-zau-ra, zbudź się, suko!

Izaura! Brrr... Nienawidziła tego imienia! Dwadzieścia dziewięć lat temu skrzywdzili ją nim rodzice, powodo-

wani natchnieniem, jakie spłynęło na nich z kart księgi imion. Nie dość, że pasowało do nazwiska jak dżem do śledzia, to wkrótce odcisnął na nim nieusuwalne piętno brazylijski serial *Niewolnica Izaura*, hit hitów PRL-owskiej telewizji.

Izaura Bochen! Groteskowość tego zestawienia zaczęła dawać się jej we znaki mniej więcej w piątej klasie podstawówki. Bochen Izaura była pierwsza w dzienniku i gdy pani od polskiego rozpoczynała sprawdzanie obecności, brzmiało to jak wybuch bomby wypełnionej ironią. Po przykrym incydencie na międzyszkolnej uroczystości wręczenia świadectw maturalnych, kiedy wy czytanie jej nazwiska wzbudziło ogólne rozbawienie i nawet kurator wojewódzki nie krył uśmiechu, Izaura postanowiła sobie, że kiedyś to zmieni. Izaurę zastąpi Izabela, ale tylko z jednym „l”, żeby nie wyszło preten sjonalnie. A ciężki „Bochen” – jeśli jej przyszły mąż będzie się nazywał byle jak – zostanie zastąpiony „Bo cheńską”. Lecz minęły lata i nic w jej dowodzie osobi stym się nie zmieniło. Nie znalazła męża, choćby z byle jakim nazwiskiem.

– Izaura, bo Lewicki wykituje! Wykituje nam! Wstawaj! – Głos należał do Lucyny Bombik, pielęgniarki. – Wracam na salę, a ty zastrzyk...

– Przecież nie śpię! – Otworzyła oczy i zerwała się z fotela, zapominając o tacy z jedzeniem, którą miała na kolanach. Kanapki z pastą śledziową upadły posma rowaną stroną do dołu, jak zawsze.

Lewicki... Lewicki... – szarpiąc się z opakowaniem strzykawki, próbowała przywołać w pamięci twarz chorego. – Aha, to ten stary, który nazwał mnie szympanśką!

Wkroczyła do sali niczym filmowy komisarz podczas nalotu na podejrzaną spelunę. Zamiast rewolweru i policyjnej odznaki trzymała w uniesionych dłoniach strzykawkę oraz gumowy kołek do gryzienia.

Lewicki trzepotał się między łózkami jak wielka ryba, która wyskoczyła z akwarium. Z grzebieniem w zębach, zaśliniony, straszny. Do podłogi przyciskał go kolaniem wytatuowany mężczyzna w samych tylko spodniach od piżamy, inny pacjent krępował Lewickiemu ręce, z nogami mocowała się Lucyna. Chory omiatał swych poskramiaczy oczyma bez źrenic i powiek: przekrwione wybałuszone białka, spojrzenie demona.

Mężczyzna z tatuażami to był stary szpitalny wyjadacz. Zobaczywszy pielęgniarkę, odsłonił Lewickiemu biały jak twaróg pośladek. Igła weszła w ciało, zniechęciła na trzy sekundy i cofnęła się, zostawiając krwawą kropkę przykrytą natychmiast wacikiem. Tymczasem Lucyna wyrwała z ust pacjenta grzebień i wsadziła tam gumowy kołek.

Po półminucie atak ustąpił, choroba wycofała się do swojej kryjówki w mózgu, aby wyczekać tam kolejnej okazji do draki. Można było rybę podnieść z podłogi i wrzucić z powrotem do akwarium. Na korytarzu dudniły drewniaki lekarza, który wezwany przez telefon, biegł właśnie ze swojej kanciapy.

– Już po wszystkim, już po wszystkim, panie Lewicki. Wrócił pan już do nas. Już po wszystkim... – Izaura

głaskała chorego głosem dobrym i ciepłym. Mimo zawodowej rutyny, która położyła się na jej twarzy maską znużenia; mimo drastycznych scen, jakich od lat była świadkiem i uczestnikiem; mimo wypowiedzianych tysiące razy mniej lub bardziej sztampowych pocieszeń – jej współczucie wciąż było szczere. Jakby nadal chodziła do pierwszej klasy liceum pielęgniarskiego. – Już po wszystkim... – kruszyła szeptem strach pacjenta.

I wtedy jego lewe oko, które jeszcze przed chwilą zaglądało w zaświaty, mrugnęło do niej filuternie. Jakby nic się nie wydarzyło! Jakby siedzieli teraz nie w sali cuchnącej przeпоconą pościelą, lecz w ogródku piwnym gdzieś nad jeziorem. To już nie był wzrok demona zmagającego się w zapasach ze świętym Witem, ale starego podrywacza i warchoła. Na dodatek, jak odkryła Izaura, całkiem jeszcze przystojnego.

Gdy za jakiś czas próbowała sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widziała tę zawadiacką twarz mężczyzny puszczającego do niej oko, w zakamarku mózgu wyświetlił jej się epizod z filmu *Anakonda*. To była produkcja hollywoodzka sprzed lat, klasy B, choć momentami błyskotliwa. Oglądała ten film w kinie z systemem Dolby Surround w mieście wojewódzkim, gdzie zabrał ją jej ówczesny zalotnik. Wszystko tamtego dnia odbyło się według wyświechtanego scenariusza: kino, spacer, pizza, lody, wino, łóżko. I właśnie w łóżku, gdy miała już na sobie tylko łańcuszek z Pierwszej Komunii i zdyszanego kochanka, nie wiedzieć czemu, stanęła jej przed oczyma scena z obejrzanego wcześniej filmu. Grany przez Jona Voighta łowca węży, stary zabijaka i awanturnik, zostaje

połknięty żywcem przez gigantyczną anakondę. Po jakimś czasie wąż wypłuka człowieka. I oto myśliwy, cały śliski od gadzich płynów i nieco już nadtrawiony, podnosi nieoczekiwanie powieki, po czym puszcza oko do bohaterki, którą od początku filmu próbował uwieść. A potem pada trupem.

Ta scena na długo zapadła w pamięć Izaury, pewnie za sprawą łobuzerskiego uroku Jona Voighta, który choć pozostawał na ekranie, to feromony wydzielał, jakby go miała na fotelu obok. Wtedy jeszcze było mu wolno; nie wiedział, że wkrótce wcieli się w postać polskiego papieża.

A tamten zalotnik od kina okazał się jednodniową jętką, choć nazwisko miał niezłe: Dębski.

Anakonda – postanowiła w myślach. Anakonda... Zacznę od dziś nazywać Lewickiego Anakondą. Zachichotała do własnych erotycznych skojarzeń. Mirosław Anakonda Lewicki... To jak pseudonim jakiegoś boksera albo zapaśnika. Władca ringu z wielkim łbem węża wytatuowanym na kłacie. Uścisk, który zabija...

W dyżurce zajrzała do karty Lewickiego. Wynikało z niej, że nigdy wcześniej nie miał ataku padaczki. Tak przynajmniej powiedział w wywiadzie lekarskim, chociaż to niczego nie przesądzało, bo chorzy trafiający do ich ośrodka to była pierwsza liga kłamców.

Sprawdzała kolejne rubryki, zdumiona swą ciekawością.

Stan: wolny. Mhm...

Zawód: doradca finansowy. Ło!

Osoba, z którą można się kontaktować: brak. Dziwne... Taki facet ma chyba cały tabun przyjaciół. No i dzieci, musi przecież mieć dzieci!

Wróciła na sam początek formularza. Data urodzenia: 28 grudnia 1951 roku. Trochę dawno – zmarkotniała. Dwadzieścia siedem lat różnicy, stary...

Stary, ale jary – skontrowała samą siebie, co znów wprawiło ją w zdumienie.

O rany! – nagle uświadomiła sobie, że Lewicki jest o rok starszy od jej ojca. Od tego mężczyzny, który dawno już stracił resztki wigoru i wyglądał teraz jak podstarzała, otyła nauczycielka wiedzy o społeczeństwie, śmiertelnie obrażona na zdradziecką historię. Izaura miała taką nauczycielkę w liceum: minęło już ładnych parę lat od upadku komunistów w osiemdziesiątym dziewiątym, a tamta biedna kobieta, ilekroć wypowiadała słowo „Polska”, zawsze dodawała automatycznie – „ludowa”.

Przypomniało jej się mrugnięcie Lewickiego i poczuła na karku dreszcz. Jakby na jej ramieniu usiadł lubieżny liliput i delikatnie dmuchał. To wpędziło ją w popłoch. Daj sobie spokój, kretynko – skarciła się w myślach – to jest dwadzieścia siedem lat różnicy. Dwadzieścia siedem! Ale dlaczego on nazwał mnie szympansicą?

Wpatrzyła się w lustro nad umywalką w poszukiwaniu utajonych dotąd małpich cech; nie znalazła żadnej. W panice sprawdziła stan owłosienia pod pachami – może Anakonda ten szczegół miał na myśli? Ale po ostatniej depilacji jeszcze nic nie zdążyło wykielkować.

– Bo ty już stara dupa jesteś – powiedziała ponuro do swego odbicia. – Stara dupa, która potrzebuje dojrzałego mężczyzny. – Uniosła sobie piersi kantami dłoni, jej wzrok wyrażał aprobatę i dumę. – Ale cyc nadal masz pierwsza klasa.

Podniosła bluzkę i przyglądała się z uznaniem dwóm chińskim znakom usytuowanym po obu stronach pępka. Rysunek był misterny i wypukły, wyglądał jak haft, jakby pod skórę wprowadzono granatową wstążkę. – Najnowszy krzyk mody – zachwalał upalony haszyszem łysy olbrzym, do którego należała nora, bardzo na wyrost nazwana studiem tatuażu.

Izaura nie miała pojęcia, co oznaczały litery, ani nie była tego ciekawa. Po prostu wybrała je z katalogu, bo jej się spodobały. Poza tym chciała być modna: od kilku dobrych lat pół Polski obnosiło na piersiach, łopatkach, łydkach, bicepsach i pośladkach azjatyckie znaki. – Wałęsa obiecywał, że będziemy drugą Japonią, i proszę... – powiedział któryś z kolejnych zalotników Izaury, próbując bezskutecznie zlizać litery z jej brzucha. (Miał nazwisko bez końcówki „ski”, ale za to obco brzmiące: Holzer.)

– A co, jak to jakieś bluźnierstwo jest? – piekliła się matka, gdy Izaura, bawiąc u niej z wizytą, nieopatrznie wyszła z kąpieli w samych majtkach. – Skąd wiesz, co ci tam napisali? Jakie to świństwa nosisz na skórze? W wiosce mojej mamusi jeden artysta pod obrazem świętej panienci czarta namalował. Modlili się ludziska przez lata, aż patrzą, farba się łuszczy. Poszkrobali, a tam spod świętej diabeł wyłazi. Naród pół

wieku przed szatanem klękał! – wyśpiewywała swym akcentem przywiezionym z Kresów ostatnim transportem repatriacyjnym.

– Błuznierstwo to jedno, ale kto ci zagwarantuje, że ten napis nie oznacza cielęciny w pięciu smakach? Albo sajgonki wegetariańskiej? Nie chciałbym, aby moja córka obnosiła na brzuchu jadtłospis chińskiej knajpy – wtrącił się ojciec, bo zawsze się wtrącał.

Gdy chwilę później Izaura przywracała porządek w gablocie z lekami, naszła ją myśl, że różnica wieku między nią a Lewickim jest jednak mniejsza. Przecież on urodził się pod koniec grudnia, a ona drugiego stycznia. To tylko dwadzieścia sześć lat i pięć dni – obliczyła i odczuła coś w rodzaju ulgi. Ale za chwilę uświadomiła sobie absurdalność tych rachunków. Jakie „tylko”? Jakie „tylko”, idiotko?

Mimo to kalkulowała dalej. Dwadzieścia sześć lat razy trzysta sześćdziesiąt pięć plus pięć dni... Ale przecież są jeszcze lata przestępne! Ile taki rok przestępny ma dni? Trzysta sześćdziesiąt sześć czy trzysta sześćdziesiąt cztery? Sięgnęła po leżący na biurku kalkulator.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że liczenie stanie się niebawem jej wielką namiętnością.

\*